



Il. 1. Najduch, stary pasterz z Rychwaldu, 1929 r.

Roman Reinfuss

MOI PRZYJACIELE ŁEMKOWIE

Zainteresowanie Łemkami, a później etnografią zrodziły się u mnie z czystego przypadku. Parę lat przed wojną mieszkałem z matką w Gorlicach, gdzie na cotygodniowych targach spotykałem Łemków. Przyjeżdżali wozami wyladowanymi drewnem, zimą saniami zaprzęzonymi w konie lub woły. Zwracali moją uwagę swymi ludowymi strojami, więc oglądałem ich z zainteresowaniem, czasem zrobiłem jakieś zdjęcie i na tym właściwie wszystko się kończyło.

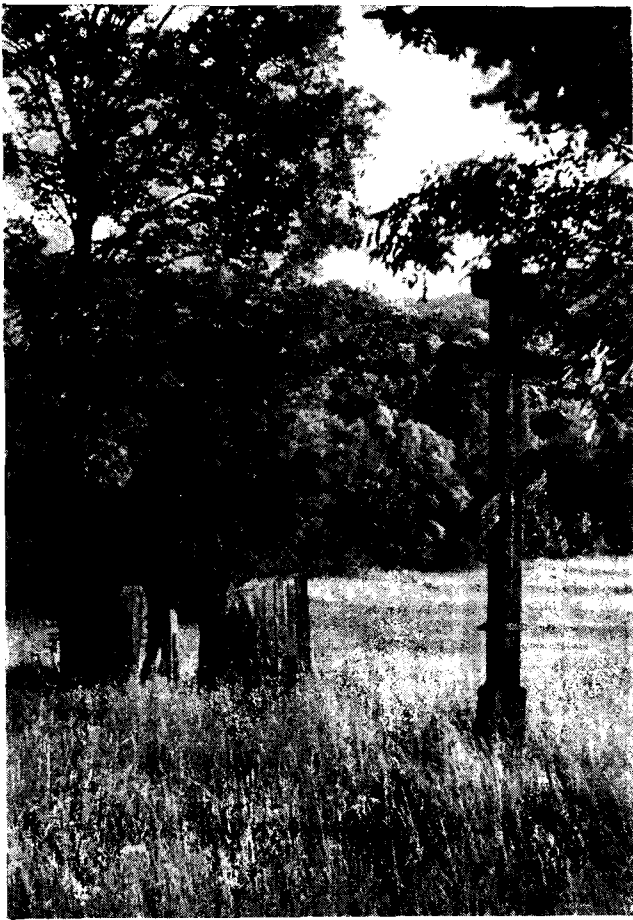
Dopiero w r. 1931 w czasie jednej z wakacyjnych wycieczek na Magurę Malastowską zaczęła się moja trwająca już przeszło pół wieku „przygoda z Lemkowszczyzną”. Szedłem śródleśną drogą biegnącą grzbietem Magury, gdy na polance po lewej stronie drogi zwróciła moją uwagę spora ruda sterta liści, obok której znajdowało się coś, jakby buda dla psa, tylko trochę dłuższa. Zacząłem schodzić w kierunku dziwnej budowli, wówczas zaszecekał pies ukryty w cieniu a z budy na czworakach wygramolił się siwy, wąsaty mężczyzna. Był to mój pierwszy przyjaciel Łemko. nazywał się Najduch. Od wiosny do jesieni pasł na tej polance kilka krów i owiec, teraz spoczywających w szalacie plecionym z gałęzi, podczas gdy stary pasterz odbywał południową drzemkę w ciasnej „kolybie”. Do wsi, skąd przynoszono

mu codzienny posiłek, wracał dopiero późną jesienią. Zainteresowało mnie życie starego samotnika, siadłem z nim na trawie, poczęstowałem papierosem, później zjedliśmy wspólnie moją wycieczkową „wałówkę”, a stary opowiadał i opowiadał. U Łemków owce nie chowają się dobrze, zapadają często na „motylcy”, trzeba je w jesieni zabijać na mięso. Rychwałdzianie mają nawet takie „pozwolenstwo” od jakiegoś króla, że mogą bite i oskórowane barany sprzedawać na targach w Gorlicach i Grybowie.

„A skądże w takim razie biorą się owce w następnym roku?” Na wiosnę chodziliśmy po nie aż do Bojków i Huculów, tam się je kupowało i pędziło górami do domu.

Zafascynowało mnie opowiadanie starego, odwiedzałem go jeszcze parę razy na polanie i w domu w Rychwałdzie (obecnie Oweżary). On opowiadał, ja notowałem i fotografowałem. W ten sposób powstał mój pierwszy drukowany artykuł na temat Lemkowszczyzny!

Rychwałd był wsią niezmiernie ciekawą. Niegdyś, jak nazwa wskazuje (Reichwald) założony przez kolonistów niemieckich, później „dokwaterowany” przez pasterzy wołoskich i ruskich rolników, znany był w okolicy jako główne centrum hodowli



i handlu owcami. Chodziłem tam wielokrotnie nie aby dowiedzieć się czegoś bliższego o tajemniczym przywileju, którego wprawdzie nikt nie widział, ale który był przez wszystkie władze aż do II wojny światowej respektowany. Informacje rychnwałdzian na temat przywileju były rozbieżne. Jedni twierdzili, że nadał go Stefan Batory za dostawy baraniny w czasie wojennej potrzeby, inni przypisywali go Marii Teresie lub carowi Mikołajowi I za jakieś przysługi na rzecz wojsk rosyjskich, gdy przechodziły przez Karpaty na Węgry w r. 1848, ażeby Austriakom dopomóc w zgnieceniu powstania Kosutha.

Drugim bliskim przyjacielem moim był Michał Madzik z Bartnego, znakomity „rabsik”, specjalista od „wybierania” borsuków z nor. Człowiek posiadający najdłuższe „bajusy” (wąsy) na całej Lemkowszczyźnie. Dom Madzika, a raczej wysoki stóg siana przed jego domem, był moim stałym miejscem noclegowym. Jeździłem tam często bo Michał Madzik nie tylko o borsukach i innych polowaniach umiał opowiadać. Przy jego pomocy nawiązałem kontakt z bartneńskimi kamieniarzami, o których artystycznej działalności świadczą zachowane do dziś setki krzyżów przydrożnych i ementarnych ozdobionych płaskorzeźbami Chrystusa.

Wojna przerwała na czas dłuższy moje wędrowki po Lemkowszczyźnie. Wprawdzie byłem raz jeden, bezpośrednio po okupacji, w Bartnem z Tadeuszem Sewerynem, dyrektorem Muzeum Etnograficznego w Krakowie, który chciał tam filmować „Kozybratry” (humorystyczny występ dwu braci samochwałów) ale byliśmy w Bartnem zaledwie parę godzin, bo w okolicy grasowały liczne i groźne bandy. Żaden kierowca z Gorlic nie chciał ryzykować wyjazdu. Ostatecznie Seweryn wykołatał jakiegoś gruchota i postarał się o obstawę w postaci trzech uzbrojonych

milicjantów. Z Madzikiem nie widziałem się wówczas. Później nastąpiła akcja „W”, a w kilkanaście lat po niej zaczęły się pierwsze powroty. Byłem wtedy kierownikiem świeżo reaktywowanej Katedry Etnologii na UMCS w Lublinie, której w r. 1960 przyznano po raz pierwszy nabór studentów. Należało ich zapoznać z pracą terenową, zadziałać mocno na ich wyobraźnię, pokazać coś nieznanego i prawie egzotycznego. Tak więc po wielu latach znalazłem się znowu w Bartnem, tym razem z gromadką studentów. Mieszkaliśmy w pustej chałupie lomkowskiej, pełniąc funkcję schronu PTTK. Opiekunem był Lemko, Stefan Felenczak, który był naszym „etatowym” informatorem.

„Panie Felenczak nie wie pan co słyhać z Madzikiem, tym co miał takie długie „bajusy”?”

„Był na wysiedleniu i niedawno wrócił z rodziną. Mieszka tam gdzie dawniej. Teraz pewnie pasie konie na pastwisku, jeden jest kasztan a drugi siwy”.

Zebrałem studentów i poszliśmy szukać Madzika. Niedaleko cerkwi na łązce pasły się dwa konie, siwy i kasztan, a przy nich na kozuchu odwróconym sierścią do góry leżał Michał Madzik. Poznałem go od razu, tylko że kruczo-czarne „bajusy” przez te kilkanaście lat bardzo posiwiały.

„Dzień dobry panie Madzik, poznaje mnie pan?”

Wpatrzył się wo mnie uważnie czarnymi, świdrującymi na wylot oczami.

„Coś niby poznaje... ale nie wiem...”

Przypomniałem mu dawne czasy i studenta, który przyjeżdżał do niego na rowerze. Stary ucieszył się i rozgadał jak dawniej, a studenci obsiedli nas wiankiem i słuchali. Opowiadał o wysiedleniu, o pobycie „na Zachodzie”, później przeszedł na dawne czasy między innymi opowiedział nam o Sypku, dzielnym zbójniku lemkowski, który miał swoją kryjówkę w jaskini na Kornutach, a żaden pościg nie mógł go osiągnąć, ponieważ koń Sypki miał podkowy przybite tyłem do przodu, wobec czego ślady jakie pozostawiały wskazywały kierunek odwrotny do jazdy.

Paręnaście lat temu zmarł Michał Madzik. Pozostało po nim dwóch synów: Iwan czyli Janek i Osif (Józef). Janek pomimo, że nie posiadał żadnego w tym kierunku przygotowania, zapalił się do etnografii. Chodził po wsiach, zbierał materiały, zaczął nawet publikować². Miał zamiar opracować całość kultury tradycyjnej Lemków. Wyjechał jednak do Ameryki do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracuje jako robotnik a równocześnie na niwie kulturalnej w Lemko-Sojuszu. Brat jego Osif gospodarzy w Bartnem i z dużym oddaniem pełni opiekę nad tamtejszą zażytkową cerkiewką. Przyjaźń jaką zawarłem z ojcem „prawem dziedziczenia” przeszła na obu synów.

W czasie jednej z zimowych wypraw badawczych na Lemkowszczyznę krynicką poznałem przed wojną w Żegiestowie — Wsi rodzinę Milaniczów (przyczynek do teorii K. Dobrowolskiego na temat udziału południowych Słowian w osadnictwie wołoskim?). Gdyśmy bardziej się zaprzyjaźnili ojciec rodziny pokazał mi z wielkim nabożeństwem poźółkły pergamin z pieczęciami, z którego wynikało, że król Stefan Batory nobilitował jednego z przodków Milanicza za zasługi wojenne, nadając mu herb i tytuł szlachecki. Podobnych dokumentów było na Lemkowszczyźnie więcej ponieważ sołtysi wsi królewskich i biskupich zobowiązani byli konno i zbrojno stawać w razie wojennej potrzeby. Ciekawe ile z tych dokumentów przetrwało zawieruchę, która przeszła przez Lemkowszczyznę.

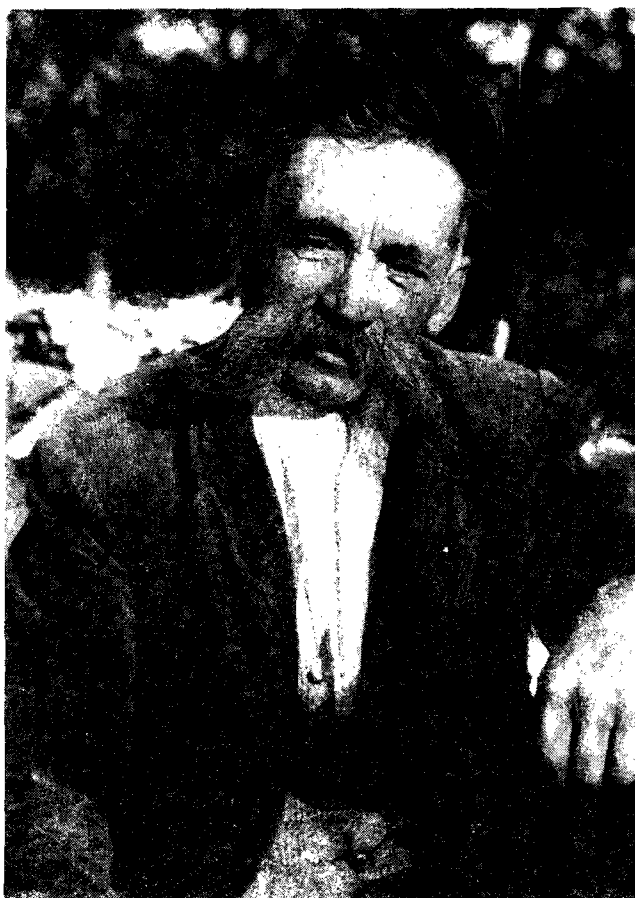
Było to chyba w r. 1936. Jechałem rowerem na penetrację wschodniej Lemkowszczyzny. Przejeżdżając przez Olchowice (dawny powiat Krosno) zobaczyłem przy drodze młodego Lemka ubranego jak wszyscy w strój ludowy. Zatrzymałem się i zagadnąłem po lemkowski:

„Sława Izusu Chrystu, majete wy u domu czuhu, ja choezu zrobyty sobi znikomu”.

Okazało się, że chłopak ma po ojcu nie tylko czuhę ale i dawny „uhersky kapeluch” i chętnie da się w tym sfotografować ale z siostrą i jej małą córeczką. Przygotowania trwały dosyć długo,



Il. 3. Ks. Tytar, proboszcz parafii greko-katolickiej w Hańczowej, ok. 1933 r.



Il. 4. Michał Madzik, Bartne, 1961 r.



Il. 5. Teodora Szlantowa, ur. 1880, Łosie



Il. 6. Wasyl Toropyła z siostrą i siostrzenicą, Olchowiec, 1933 r.

bo musieli się gruntownie umyć, uczesać jak do cerkwi i wystroić, wreszcie stanęli przed obiektywem.

„Łem przyslijcie nam pane znimku, ne zubudte”.

Obiecałem, że przyśle, zapisałem nazwisko Wasyl Toropyła — Olchowiec i zdjęcia... nie posłałem. Po wojnie w r. 1963 byłem w Olchowiec ze studentami. Pytałem o Toropyłę, był, wrócił z przesiedlenia ale go nie odwiedziłem bo nas burza wypędziła z Olchowca i trzeba było wracać do Krempnej, gdzie mieliśmy bazę. W następnym roku znowu odwiedziliśmy Olchowiec. Po pracy mieliśmy zebrać się przy samochodzie. Nadeszła umówiona godzina, czekałem na miejscu zbiórki. W oddali zobaczyłem trzy zbliżające się postacie. Były to dwie studentki i idący między nimi starszy mężczyzna. Domyśliłem się od razu.

„Wyste Wasyl Toropyła?”

„A wyste, pane, toj profesor z Lublyna szto sia o mene pytau?” I stało się coś bardzo dziwnego! Chwyciliśmy się w objęcia i wycalowali jak bracia. On plakał otwarcie a ja zagryzałem wargi bo mi było wstyd przed studentami. Jak się uspokoił zaczął opowiadać jak to czekał na moje „znimki”, jak szukał swej fotografii na wystawach reklamowych fotografów w Rymanowie i Sanoku. Ale nie znalazł, a później nadeszła wojna. Czulem się jak zbity pies. Na szczęście mam przeciwieństwo. Wasyl Toropyła w tydzień po naszym spotkaniu dostał swoje „znimki” powiększone do formatu 18×24, tylko, że siostra nie mogła ich już obejrzeć bo zmarła przed paru laty, a jej mała córeczka jest jeszcze na zachodzie, tam wyszła za mąż i ma kilkoro dzieci. Później korespondowałem z Toropyłą, zapraszał mnie do „Olchiucia na hryby”.

Sporo jest tych łemkowskich przyjaciół. Chciało by się każdemu poświęcić choć słowo, ale co to obchodzi czytelnika?

Muszę jednak wspomnieć o Łosianach, bo Łosie położone kilkanaście kilometrów na południe od Gorlic jest wyjątkową wsią. Od niepamiętnych czasów jej mieszkańcy uprawiali obwoźny handel mazią i innymi smarami. „Za Austrii” objeżdżali swoimi ciężko załadowanymi wozami Węgry, Siedmiogród, Kongresówkę, Łotwę, Litwę, Ukrainę. Po I wojnie światowej jawnie handlowali na terenie całej Polski a „na szwarce” również po Słowacji i Morawach, bo przejście granicy całym taborem wozów nie stanowiło dla nich zbyt wielkiej trudności. Łosianie byli zamożni a nawet bogaci. Budowali piękne domy, ubierali się po miejsku, dobrze jedli, więc byli wyrosnięci jak dęby, a ich dziewczęta słynęły z urody. Wyglądem swym łosianie wyróżniali się wyraźnie w masie zabiedzonych, drobnych Łemków. Na tej podstawie powstał mit, że łosianie są potomkami szwedzkich jeńców wojennych z czasu „potopu”.

W Łosiu spędziliśmy z przerwami kilka tygodni, penetrując również stamtąd wsie okoliczne. Z łosianami zżyliśmy się bardzo prędko, a najbardziej z rodziną Grzegorza Jewusiaka, doświadczonego maziarza, który dawniej operował głównie po południowej stronie Karpat i to przeważnie „na szwarce” czyli przez zieloną granicę. Doskonale narrator opowiadał z humorem o przygodach własnych i swoich kolegów, jak nocą całe karawany maziarskich wozów przechodziły nielegalnie granice, jak ich polscy lub czescy strażnicy tropili i jak sprytnie maziarze potrafili wymotać się z opalów, a taśma magnetofonowa notowała. Z materiałów, które tam są utrwalone można by napisać wspaniałą powieść. Opowiadania swoje przeplatał Jewusiak śpiewem i grą na harmonii. Śpiewała zresztą cała rodzina Jewusiaków czasem wspomagana przez ciekawe sąsiadki. Przy dużej muzykalności Łemków i przyzwyczajonych do wielogłosowych śpiewów cerkiewnych rodziły się na poczekaniu chóralne koncerty ludowych pieśni łemkowskich. U Jewusiaków spędzaliśmy długie i niezapomniane wieczory. Podobnie było u mieszkających po sąsiedzku Szlantów, gdzie cenną informatorką była 80-letnia matka gospodarza Teodora Szlantowa. Rej wodziła jednak jej synowa Maria, rodem ze Snietnicy, która niesłychanie barwnie i dokładnie opowiadała i ilustrowała piosenkami „jak to persze Lemki wczirki odprawlały”.

O każdej porze dostępny i chętny do udzielania wywiadu był Piotr Spólnik, urodzony w r. 1883, ex-maziarz, którego reuma-

tyzm trwale przykuł do łóżka. Dokuczała mu bezczynność i nuda, więc lubił gdy przychodziliśmy do niego. Opowiadał oczywiście o maziarskim handlu, o zwyczajach i przesądach, a także śpiewał. U niego nagrałem dwie rzadkie polskie pieśni dziadkowskie, które przywiózł ze swych maziarskich wędrowek, z okolicy Inowrocławia. Od niego też zanotowaliśmy informacje o sposobie chowania poronionych płodów. Gdy Spólnik był małym chłopcem matka jego pracując ciężko w czasie ciąży poroniła. Niedonoszony płód został zwyczajem łemkowskim zakopany w izbie pod stołem, gdzie miał czekać do momentu, w którym powinien nastąpić prawidłowy poród. Według wierzeń Łemków w tym momencie przybywa dusza nienarodzonego dziecka i wołaniem domaga się chrztu. W tym właśnie czasie Spólnik ze swoim starszym bratem leżeli na łóżku. Brat powrócił z handlowej podróży i opowiadał o niej Piotrowi. Długo w nocy chłopcy rozmawiali ze sobą, gdy w pewnym momencie, jak twierdził Spólnik, usłyszeli wyraźne wołanie „chrztu, chrztu”. Wystraszyli się i dali szybko znać rodzicom, a wówczas ojciec pokropił miejsce pochówku poświęconą wodą i w obecności matki dokonał „chrztu z wody”. Stary Spólnik był głęboko przekonany, że nie uległ wraz z bratem halucynacji.

Pewnego razu po skończonym wywiadzie u Spólnika cofnąłem taśmę i przegrałem mu fragment jego opowieści zakończonej maziarskim zawołaniem „Kolomaż ... Kupujcie kolomaż...”. Stary w pierwszej chwili oniemiał i wpatrywał się w magnetofon nieprzytomnym wzrokiem, następnie poderwał się, usiadł na łóżku, zaczął klepać się dłońmi po udach, wreszcie wykrztusił drżącym z emocji głosem „Diabła miał w sobie ten co to pudełko wymyślił”.

Z podobnymi reakcjami w sześćdziesiątych latach spotykaliśmy się u starszych Łemków często. Szkoda, że nie było drugiego magnetofonu, który by te spontaniczne odezwania nagrywał, byłby to niezwykle ciekawy materiał.

Późną jesienią chodziliśmy oczywiście w Łosiu na „weczirki”, gdzie kobiety dały pierze, plotkowały, śpiewały, a mężczyźni robili to samo tyle, że nie dały pierza. W czasie tych wieczornych popisów śpiewackich występowała w całej pełni mieszanka kulturowa jaką tworzyli maziarze znosząc do swej wsi z różnych stron melodie oraz teksty. Dudra spod Kiczery śpiewał po węgiersku czardasze, Piotr Spólnik długą balladę po słowacku o żołnierzu, który został rozstrzelany za dezercję a nad wszystkimi górował potężny bas Stefana Trębacza, wobec którego Szaliapin zadrzał by z zazdrości. Tak było w Łosiu. Gdyśmy stamtąd odjeżdżali pytano nas „A kiedy wracacie?”. Najdłużej „wracała” jedna ze studentek, która na temat Łosia i łosian napisała ciekawą książkę opublikowaną w wydawnictwie PAN³.

Po wojnie przez kilkanaście lat z rzędu spędzałem z rodziną wakacje w Wysowej. Było to okazja do odnowienia starych znajomości i nawiązywania nowych. Mieszkałszy u Łemków. Nasi gospodarze Michniewiczowie należeli do badaczy pisma świętego czyli tzw. popularnie „kociarzy”. Wiele miesięcy spędzonych z tą rodziną pod wspólnym dachem dostarczyło nam niezwykle interesującego materiału do obserwacji. Przez cały czas naszego pobytu nie słyszeliśmy w tym domu podniesionego głosu, przekleństwa czy prostej domowej sprzeczki. Gdy Michniewiczowi skasowano ogródek przed domem i wycięto śliwy, które tam pięknie owocowały, stary Sylwester zapytany przeze mnie co o tym myśli, odpowiedział spokojnie: „po drugiej stronie drogi jest pusta łąka mogli stamtąd stronić ulicę poszerzyć, ale widać bardziej pasowało po naszej”.

U Michniewiczów nie słychać było ani śmiechu ani śpiewu. Gdy przegrywałem taśmy z nagrzanymi piosenkami łemkowskimi Michniewiczowa słuchała ich z widocznym zainteresowaniem, a nawet przyjemnością. Sama nie dała się jednak uprosić by zaśpiewała „bo nam takich światowych pisenek śpiewać nie wolno”.

Pewnego razu w czasie długotrwałej „lejhy” gdy wszystko co miałem do dyspozycji zostało już przeczytane, poszedłem do Michniewiczów po jakąś książkę. Okazało się, że dysponują je-



Il. 7. Najduch, stary pasterz z Rychwałdu, 1929 r.

dynie Pismem św. Wziąłem Stary Testament i przetrzymałem go, o ile pamiętam, z tydzień. Ogromnie przez to awansowałem w oczach naszych gospodarzy, zaczęli na mnie spojierać jak na potencjalnego kandydata „na brata” tym bardziej, że niejednokrotnie zadawałem im pytania na temat ich wyznania.

W czasie licznych spacerów i wycieczek odbywanych z Wysowej, chodziłem dużo po ementarzach. Po pierwsze dlatego, że interesowały mnie kamienne nagrobki, które rysowałem lub fotografowałem, po drugie z tego powodu, że spotykałem na nich nazwiska ludzi, których znałem lub o których tylko słyszałem. W nadgranicznej Blechnarce na ruinie ementarza zachował się nagrobek Jaeka Babeja zwanego „Gyrda”, znanego w okolicy „baczy”, czyli znachora, który leczył, przepowiadał, wypędzał z ludzi „złe” i był bohaterem licznych opowiadań.

W Hańczowej natrafiłem na nagrobek miejscowego proboszcza ks. Tytara. Nazwisko jego należałoby wpisać na pierwszym miejscu na liście moich informatorów sprzed lat pięćdziesięciu. Trudno mi o nim nie wspomnieć jako, że wizyta u niego w r. 1932 lub 1933 do dziś tkwi w mojej pamięci. Wtedy właśnie rozszerzyłem moje amatorskie „badanie” Lemkowszczyzny i szukałem odpowiednich informatorów, chodziło o przesady i wierzenia. Uzbrojony w list polecający pojechałem na rowerze z Gorlic do Hańczowej do ks. Tytara „bo on tam już trzydzieści lat jest na parafii, Lemków dobrze zna, to ci najlepiej wszystko wyjaśni”.

Po dwudziestu kilku kilometrach przejechanych po wertepach, zwanych niesłusznie „drogą”, spocony i zmęczony stanąłem przed plebanią. Był to budynek drewniany, niski, długi, kryty gontem. Od frontu w połowie długości znajdował się ganek krzywy od starości. Z duszą na ramieniu zapukałem do drzwi. Po chwili pojawił się w nich niski, chudy człowieczek, o lisim pyszczku, odziany w sfatygowaną czarną czamarrę.

„A dobrodziejaszek w jakiej sprawie?”

Oddałem list, przeczytał na gauku i poprosił mnie do środka. Plebania była mroczna, czuć było grzybem. Na ścianach były szare rozległe plamy z much. Tysiące ich klebiło się i brzęczało w powietrzu. Uderzały w twarz, wpadały do ust przy mówieniu. Siedzieliśmy z księdzem naprzeciw siebie przy stole w jadalnym pokoju, który pełnił również funkcję saloniku.

„Dobrodziejaszku, to właściwie o co wam chodzi, co ja mam wam powiedzieć?”

„Chciałem, proszę księdza proboszcza dowiedzieć się czegoś na temat wierzeń i przesądów Lemków. Ksiądz przecież tyle lat... To ksiądz doskonale itd. itd.”

„Dobrodziejaszku tego to ja nie wiem. Oni mi tego nawet na świętej spowiedzi nie mówią, ale poproszę jejmość ona więcej z babami przestaje to ona z pewnością potrafi coś powiedzieć”.

I zawołał żonę. W przeciwieństwie do księdza jejmość była bardzo wysoka i niezwykle tęga. Ubrana jak do roboty przy gospodarstwie, przysła z kuchni, więc świeciła się potem jak rzymski zapaśnik namaszczony oliwą.

Wytłumaczyłem jej o co chodzi i zadałem konkretne pytanie:

„Czy Lemkowie opowiadają coś o planetnikach?”

„O planetnikach? Tak, opowiadają, że to takie duchy czy ludzie co w powietrzu przenoszą chmury gradowe. One są bardzo ciężkie i słychać jak planetniki wolają tam z góry między sobą: „puść! puść! bo nie wytrzymam”.

„I co wtedy?”

„Wtedy najlepiej wziąć paskę wielkanocną. Pan wie to taka bułka, uskrobać spod spodu trochę mąki i wrzucić do pieca. Jak się spali i jak ten dym dojdzie do chmur, to planetniki się tym wzmocnią i przeniosą chmurę dalej, żeby grad nie narobił szkody. Ale jak pan myśli, to chyba nieprawda?”

W czasie obiadu, na który zostałem zaproszony, podano rosół, w którym było trzy rodzaje much. Takie które utopiły się w czasie gotowania i rozlały się na części składowe, takie, które

utopiły się później i nieruchomo ale w całości unosiły się na powierzchni i takie, które wpadły do talerza w drodze z kuchni lub już na stole, były żywe, ruchliwe i dzielnie wiosłowały wszystkimi sześcioma nogami. W pierwszej chwili trochę mnie ta przyprawa zaszokowała. Spojrzałem ukradkiem co robi ksiądz, a on najspokojniej wylawiał muchy łyżką i lokował jedną przy drugiej na obrzeżu talerza, następnie zabrał się do jedzenia. Zrobiłem to samo. Co było „na drugie” nie pamiętam, widać w menu nie było już nic specjalnie atrakcyjnego.

Po obiedzie poprosiłem ks. Tytara aby mi pokazał cerkiew, znajdującą się parę kroków od plebanii. Ksiądz jednak nie był wcale zachwycony moją propozycją. W końcu jednak zgodził się. Wyszliśmy przed plebanie, a ksiądz po drodze mówił:

„Dobrodziejaszku, aż serce boli wchodzić do tej znieważonej świątyni pańskiej”.

„Znieważonej?”

„A tak dobrodziejaszku, znieważonej i okradzonej! Nie uszanowali zbrodniarzy domu Bożego!”

„Było włamanie?”

„Patrz dobrodziejaszku, zamek wylamali, drzwi uszkodzili!” Ksiądz olbrzymim kluczem otworzył prowizorycznie naprawiony zamek i weszliśmy do środka.

„Czy złodzieje ukradli aparaty kościelne?”

„O co to, to nie!”

„Znieważyli sakrament?”

„Nie!”

„No więc co się tu właściwie stało?”

„Świątokradztwo dobrodziejaszku, świątokradztwo!!!”. Uśmiechnął się smutnie i z pewnym oporem zaczął opowiadać.

„Dobrodziejaszku, moja parafia jest wielka. Tu na miejscu w Hańczowej jest dusz niewiele, ale w Ameryce jest ich pareset. Oni często pisują do swego ojca duchownego, jeden o metrykę, drugi o świadectwo ślubu, trzeci o inne jakieś zaświadczenie. Nie wiedzą jak za to płacić, więc przysyłają w liście dolary, co łąska i według zamożności. Jeden dolara, inny 5 dolarów, a poniekąd to i 20 dolarów włoży do listu. Co ja biedny proboszcz z dolarami mam robić? Do banku przecież nie oddam, a jak schowam do siennika to wypatrzą i ukradną. Jeszcze może przy tej okazji zabiją. Wkładałem je więc do takiej koperty i trzymałem w ołtarzu pod serwetką, na której stał kielich. A ci wypatrzyli, włamali się nocą do cerkwi i ukradli kopertę z dolarami. Nie uszanowali zbrodniarzy ołtarza. Świątokradcy!”. Przypomniało mi się to wszystko gdy stanąłem nad grobem ks. Tytara.

Dziś w nowej murowanej plebanii mieszka z rodziną ksiądz prawosławny. Cerkiew wyremontowana jest za pieniądze przysłane przez Łemków z Ameryki, a ikonostas został pięknie odnowiony na koszt państwa przez pracownię konserwatorską w Łańcucie.

Od paru lat nie jeżdżę już do Wysowej. Mam własną chałupę z ogródkiem pod Krakowem i tam spędzam czas wolny od zajęć, ale moja „przygoda z Łemkowszczyzną” wcale się nie skończyła. Odżywa gdy na licznych prelekcjach opowiadam o Łemkach i ich kulturze, gdy o nich piszę, gdy przeglądam fotografie robione przed laty. Wówczas stają mi przed oczyma jak żywi stary Najduch, Madzik, Toropyła, Jewusiak, Spólnik, Dudra spod Kiczory i wielu, wielu innych, o których tu nie wspomnieliem, a byli to „duże, fajne ludo”.

PRZYPISY

¹ R. Reinfuss, *Pasterstwo na Łemkowszczyźnie dawniej a dziś*, Dodatek Literacko-Naukowy „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” nr 31, 3.VIII, 1931

² *Nad rzeką Ropą, zarys kultury ludowej powiatu gorlickiego*, Kraków 1965; J. Madzik, Z. Cieśla-Reinfussowa, *Łowiectwo i rybołówstwo*; M. Grybel, J. Madzik, *Bartnictwo i pszczelarstwo*; J. Madzik, *Zwyczajne doroczne Łemków*

³ M. Brylak-Zaluska. *Maziarska wieś Łosie*. Ossolineum 1983



8



9



10

Fot.: R. Reinfuss